

8 str. obl.

Roman Sankowski

Nagranie relacji i redakcja maszynopisu: Janina Wołczuk

© ARCHIWUM WSKŁONIE

Urodziłem się w 1923 roku w Lubczy nad Niemnem na Wileńszczyźnie, w powiecie nowogródzkim. Ojciec mój był osadnikiem wojskowym, rolnikiem, piłsudczykiem. Dostał przydział ziemie w osadzie Berdówka w gminie Wsielub.

W Berdówce było 10 osadników wojskowych, którzy mieli ziemię od Piłsudskiego; było też 12 osadników cywilnych - ci dostali ziemię /po 5-6 hektarów/ z majątku jakiegoś grafa. Osadnicy wojskowi mieli ziemi więcej niż cywilni.

Ojciec mój był urodzony w samym Kownie, pochodził z Litwy. Poszedł na ochotnika do wojska do Piłsudskiego, służył w kawalerii. A matka pochodzi z Lubczy, ojciec ożenił się z dziewczyną miejscową, z Kresów. Aż do 1940 roku rodzice mieszkali w Berdówce. Poza moimi rodzicami mieszkali inni osadnicy: Krzykwa Piotr - miał chyba 5 dzieci; Skowroński, Meszyn /?/, Zych /rodzina 5-osobowa/, Kulesza /też był wywieziony, utonął na Syberii/ - miał 3 dzieci; Maliszewski - miał 4 dzieci; Skarżyński - 4 dzieci; Jasiński, Meszyn /oni mieli chyba 2 dzieci/. Osadnicy byli przyjezdni, z różnych stron, żenili się na tym nowym terenie i tak już mieszkali, żony brały sobie przeważnie miejscowe, bo po wojsku to wszystko to była kawalerka.

W pobliżu osady Berdówka była wieś o takiej samej nazwie - to była nieduża wioska, scalona. Większość ludności we wsi stanowili prawosławni, a osadnicy byli katolikami. Ludzie żyli między sobą bardzo dobrze, chociaż wieś nie była bogata. Ludzie mieli wprawdzie trochę ziemi, ale płodów nie było gdzie sprzedać, do miasta było daleko. Nie było gotówki, ale jedzenia starczało - grochu, mąki. Luksusowo ludzie nie żyli.

W naszej rodzinie było dużo dzieci. Ojciec miał dużo ziemi, ale dawniej nie było przecież nawozów. To co się zebrało, to całą zimę młócili cepem. Nie było żadnych maszyn - cepami młócili, sierpami żęli. Mieliśmy już zabudowania, bo właściciel tego rozparcelowanego majątku dał też las na budowę; ludzie się pobudowali i w tych zabudowaniach mieszkali. Ojciec jako osadnik miał prawo do pożyczki na dogodnych warunkach, ale ojciec bardzo bał się brać pożyczki, był bardzo ostrożny. Ze wszystkich osadników tylko jeden miał kierat konny, pamiętam to, bo sam te konie czasem za kieratem pędzałem, młóciłem.

Ojciec z matką nie byli w stanie sami obrobić wszystkiej ziemi, oddawał więc część w dzierżawę, siał dla ludzi z okolicznych wiosek len na swoim, wynajmował pastwiska. Mieliśmy też 7 ha lasu,

Roman Sankowski c.d.

to był młody las. Nie mieliśmy żadnej siły najemnej, ani służącej, ani parobka. Tak jakoś klepaliliśmy bidę

Między sobą osadnicy trzymali się razem, być może pochodzili wszyscy z jednej jednostki wojskowej /choć byli z różnych miejscowości/. Należeli do Związku Osadników Wojskowych, postawili przy takiej drodze /gościńcu/ pomnik osadników wojskowych - to był obelisk upamiętniający osadników wojskowych.

Do szkoły chodziłem w Gieniuszach. To była 4-klasowa szkoła. Trzeba było chodzić po 2 lata do klasy 3-ej i 4-ej, żeby zaliczyć obowiązek szkoły powszechnej. Ale w Lubczy nad Niemnem była szkoła 7-klasowa, więc mój ojciec umieścił mnie u babci w Lubczy i tam chodziłem, skończyłem tam V i VI klasę. Inni osadnicy nie kształcili dzieci, rzadko które dziecko kończyło VII klasę. O szkole średniej nikt nawet nie myślał. Z całej Berdówki tylko ja i córka Kuleszów uczyliśmy się dalej /ja w Lubczy, a ona w VI klasie we Wsielubiu/. Wszyscy poprzestawali na tej III i IV klasie.

Na naszych terenach więcej było prawosławnych niż katolików. Dla katolików kościółek był w Lubczu - właściwie kapliczka /tam mnie chrzcili/. U nas najwięcej było cerkwi: w Lubczu, we Wsielubiu. W Lubczu była też żydowska synagoga. W Lubczu było bardzo dużo Żydów /przeważali Żydzi i prawosławni, katolików było bardzo mało/. W szkole dzieci różnych wyznań żyły ze sobą zgodnie. Bawiłem się z Żydami, chodziłem czasami do cerkwi, zaglądałem też do synagogi - z ciekawości. Jak jechało prawosławne wesele z dzwonkami, to wszystkie dzieciaki biegły do cerkwi popatrzeć. A kapliczką opiekowały się siostry w szarych habitach /chyba szare urszulanki/, one też uczyły nas religii.

W Lubczu w VI klasie /w 1938 roku/ należałem do harcerstwa. Wtedy wygłosiłem oficjalnie uroczyste jakąś mowę. Nie pamiętam już z jakiej to było okazji, ale mowa była przygotowana przy pomocy nauczycieli i była skierowana jakoś przeciw ruskim. Mowę tę przygotowało małżeństwo nauczycielskie - Giecoldowie.

Ludzie w Berdówce i w Lubczu mówili swoją gwarą. Osadnicy wojskowi mówili po polsku. A moja macocha była prawosławna i do swoich dzieci czasem mówiła i w prawosławnym języku, prostym, białoruskim. Ja rozumiałem tę mowę i teraz mogę tak mówić. Nawet po żydowsku sporo rozumiałem.

Macocha moja była prawosławna, ale wychodząc za mąż przeszła na katolicyzm. W domu obchodziliśmy święta katolickie. Moja matka rodzona też była z prawosławnej rodziny, ale przeszła na katolicyzm. Dzieci były chrzczone w kościele. Były też przypadki, że niektórzy przechodzili na prawosławie. Zasada była taka, że ko-



Roman Sankowski c.d.

bieta przechodziła na wiarę męża. Zawsze w przypadku zmiany wyznania ksiądz grzmiał z ambony, a pop swoje mówił w cerkwi. Ojciec mój często występował w roli swata, żenił takich fagasów, co się nie mogli ożenić. Opowiadał kiedyś, że był przypadek, że ani ksiądz ani pop nie chcieli dać pewnej parze ślubu - każdy chciał postawić na swoim. Wtedy młodzi pojechali do uniatów, wzięli ślub i ślub był ważny - a jakie tam uniaty byli, tego nie wiem. Byli zatem u nas też unici.

Kiedy zaczęła się wojna, to od nas chyba dwóch mężczyzn poszło do wojska - oni byli chyba z centralnej Polski. Mój wujek był gajowym, poszedł więc do wojska i wrócił do domu dopiero wtedy, kiedy u nas byli już Rosjanie. W naszej okolicy front nie przechodził, bo to była taka dziura. Tak że wojska rosyjskiego nie widzieliśmy wcale. Zobaczyliśmy Rosjan dopiero wtedy, kiedy przyjechali nas zabierać.

Wywózka była zaskoczeniem. Gdyby ludzie coś przeczuwali, to zawsze by gdzieś wcześniej uciekli - każdy miał przecież gdzieś rodzinę w okolicy: w innych wioskach czy w miastach, ale nikt niczego się nie spodziewał. A oni odrazu stanęli pod oknami, pod drzwiami, dali termin, żeby się zebrać - godzinę czy dwie. Na całą rodzinę mogliśmy zabrać 30 pudów bagażu - w tym również jedzenie. Mówili, żeby brać siekiere czy piłę, bo to najważniejsze.

Z Rosjanami przyjechał zabierać osadników Żyd ze Wsielubia - Pińczański. Ojciec czasami z nim przed wojną popijał. Pińczański był handlarzem, handlował końmi i bydłem. Pińczański miał spis wszystkich osadników i z tym spisem przyjechał. Kiedy nas wywozili, to brat mój był u babci w Lubczu nad Niemnem - 20 km od domu. Nas przywieźli na stację do Szklanej Huty: siedzimy w tych bydlęcych wagonach, palimy w tych piecykach, bo mróz był straszny. Ojciec mój zauważył, że Mietek został w Lubczu. Ale na drugi dzień bojec przyprowadził brata do nas. Schwycili go u babci, tak jak i nas - w nocy. Mieli więc wszystko wcześniej przygotowane.

W okolicach Berdówki nie było innych osad, ale były w okolicach Lubcza - Oczukiewicze i Galatycze. Stamtąd też wywieźli wszystkich, ale ich nie dołączyli do naszego transportu, nie spotkaliśmy się z nimi w Rosji - bo ojciec mój znał tamtych osadników.

Wieźli nas tak, że jak zabrali z domu 10 lutego, to chyba dopiero 27-go zawieźli na posiołek /jechaliśmy pociągiem, a później 120 km konikami przez las/. Byliśmy chyba w Jarosławlu, a potem konie zawiozły nas do Kurianowa. W Kurianowie były puste drewniane budynki. Każda rodzina dostała jeden pokój w baraku. W posiołku zamieszkali sami Polacy, a kilka rodzin Rosjan - to było nasze

Roman Sankowski c.d.

zwierzchnictwo. Rosjanie ci opowiadali, w latach 30-ch przywieźli do tych lasów Ukraińców. Rzucono ich pod jodły, to było lato, i kazano im budować sobie baraki. W tych barakach mieszkali przed nami Ukraińcy, a przed naszym przyjazdem przeniesiono ich do kołchozów. Ja mieszkałem w 7-ym baraku. Potem Polacy też pobudowali nowe budynki - chyba ze 3 baraki, szkołę /uczono w niej po polsku, bo byli wśród nas też wywiezieni nauczyciele i nauczycielki/. Razem było nas może około 1000 /tysiąca/ osób. Baraki nie były ogrodzone, nie było straży, ale nikt nie mógł nigdzie uciec - do pociągu było 120 km, a do statku, do rzeki było 90 km.

W czasie podróży nie widziałem, żeby ktoś zmarł w transporcie. Ale zaraz po przyjeździe zmarła 18-letnia panna, sam nawet byłem na pogrzebie. Wybrano miejsce pośród brzoź, na wzniesieniu. Śnieg był głęboki, może ze 2 metry, ciekopali ten śnieg, rozpalili ognisko, rozgrzali ziemię i dopiero wtedy można było wykopać grób - ale niezbyt głęboki. Kiedy wyjeżdżaliśmy z tego posiołka, to tam było pochowanych już sporo ludzi, bo grzebano w tym miejscu zmarłych z 3 posiołków - to były: Kurianowo, Bojcy i Kordon. Cementarz był koło Kordonu, bo to był środkowy posiołek.

W posiołku można było modlić się. W barakach nie było jakiejś kontroli. Ale jak ktoś powiedział, że jest niezadowolony, bo dają mało chleba czy coś w tym rodzaju, to z tego już była cała sprawa. Mój wujek gajowy - Malawski Jan - miał taką sprawę. Pracował przy ręcznym piłowaniu desek. Powiedział, że robota jest ciężka i ludzie powinni dostawać więcej chleba. Wujka zabrali na komendanturę i wywieźli gdzieś aż do Archangielska. Wujek siedział 12 lat!... Rodzina wujka została na posiołku - żona i małe dzieci. Wujek siedział 12 lat i wysiedział, mimo, że przed wojną był taki chorowity. Ciotka nie jechała do Polski, z Ukrainy wróciła w okolice Mińska, czekała na męża. Wujek bardzo kochał dzieci, a po powrocie już do dzieci nie miał serca. Wujek po powrocie z więzienia zamieszkał tam pod Mińskiem, do Polski nie przyjechali. Wujek już nie żyje, a ciotka żyje jeszcze. Wujek przyjeżdżał do nas dwa razy.

W posiołku było też kilka innych aresztowań. Był aresztowany pan Szwan /on nie był z Berdówki, ale mieszkał razem z nami w posiołku/. Szwan też coś powiedział, wzięli go, ale on już nie wrócił - pewnie go zamęczyli. Byłem w sprawie Szwana wołany do komendantury. Przyszedłem tam, a komendant siedzi - nagan na stole, papierosy. Podsuwa mi papierosy, żebym zapalił. A ja byłem młody, nie paliłem /miałem 17-ty rok/. A on koniecznie chciał wiedzieć, co Szwan mówił. A ja na to, że nic nie mówił. Za drugim razem komendant zagroził, że zabije mnie jak psa. A ja miałem zimną krew,



Roman Sankowski c.d.

powiedziałem, niech mnie zabija. I więcej już mnie nie wołał.

Z zesłania pisaliśmy listy do babki. Nie dostawaliśmy żadnej pomocy, bo tam była bieda, zostały same kobiety. /Wujek Malawski był mężem siostry mojej matki. Malawscy mieli troje dzieci: Janek, Marysia i "elka/. Malawscy byli też z Berdówki i stamtąd ich zabrali. Kiedy wujka aresztowali w posiołku, to ciotka dała jakoś sobie radę, przeżyła razem z dziećmi.

O tym, że się organizuje wojsko Andersa u nas w posiołku wiedzieliśmy. Zbieraliśmy się do tego wojska iść. Ale mój brat był jeszcze za młody. Ojciec powiedział, że jeśli mamy iść, to wszyscy razem. Ale z naszego posiołku dużo ludzi poszło. Potem usłyszeliśmy, że Anders wyprowadził wojsko do Iranu - to było chyba w rosyjskiej gazecie: że Anders zdradził...

Kiedy armię polską organizowała już Wanda Wasilewska, to brat mój był starszy. Zgłosił się na ochotnika. Ja też nie czekałem na wezwanie, wszyscy chłopcy z posiołka poszli na ochotnika - kobiety i dzieci odprowadzały..., śpiewały "Boże, coś Polskę". Szliśmy pieszo do statku. Stakiem płynęliśmy po Ocie - i tak dotarliśmy aż do miejsca, gdzie się organizowało wojsko. W posiołku zostały same kobiety i dzieci. Dobrze, że ich potem przewieziono na Ukrainę, bo tam była trochę lepiej - była kukurydza i winogrona. Można było przeżyć. A myśmy uciekali do tego wojska, żeby się tylko wyrwać z tego lasu.

Kiedy byliśmy jeszcze w lesie, to nie było jakiegoś przekonywania, żeby zmienić obywatelstwo, czy coś takiego. W lesie byłem 3 lata. Czasami dostawaliśmy skromną pomoc - parę kilo amerykańskiej mąki czy coś takiego. Ale tego było niewiele. Wszystkie lata tam były trudne. Naszej rodzinie było trochę łatwiej niż innym, bo nasz ojciec woził końmi towar, zawsze gdzieś na wiosce dostał trochę kartofli, wymienił coś z ubrania na jedzenie, a mieliśmy trochę rzeczy ze sobą, ale niewiele, bo wszystko w domu zostały: krowy, konie... Nasz dobytek został porozbierany przez ludzi z okolicznych wiosek. A zabudowania? Kiedy mój brat jeździł tam po raz pierwszy, to nasze zabudowania jeszcze stały. A później jeździła macocha - wtedy po osadzie nie było już śladu; pobudowano nową Berdówkę.

Teraz już bym tam nie wrócił. I mało kto by chciał wracać - tam mieszkałem tylko 16 lat, a tutaj jestem już 40. Po co tam wracać? Tu już mam całą moją rodzinę, dzieci, wnuki. Nawet jakby Niemiec tu wrócił, to Polacy zostaną, niech oni rządzą, ale my gdzie pójdziemy? Jesteśmy już związani z tymi ziemiami.

Uzupełnienie informacji przez: Mikołaj Jadwigę

W posiołku zmarli: utonął Kulesza - ojciec rodziny. Zostawił żonę i 4 dzieci - córkę i 3 synów. Potem zmarła też Kuleszowa. Dzieci zostały same: Stanisława, Henryk, Ryszard i ? /czwartego nie pamiętam/. Henryk był z 1928 roku. Dzieci były chyba zabrane do domu dziecka. Słyszałam, że po wojnie Stanisława odnalazła braci i ich wychowywała.

Zgonów było bardzo dużo. Wymarła cała jedna rodzina - byli chorzy na serce. Nie było tak tragicznie zaraz po przyjeździe, bo mieliśmy jeszcze rzeczy na wymianę. Kołchoźnicy płacili mąką, ziemniakami.

Zmarłym nie urządzano pogrzebów, ale trumny były. Na grobach wolno było stawiać krzyże. Małe dzieci były grzebane pod krzakami. Na Syberii, w 1942 roku urodziła się moja najmłodsza siostra, ale przeżyła.